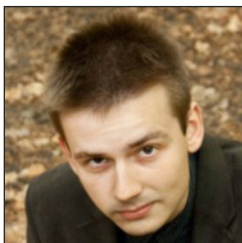


Japoński perfekcyjny balans zagrożony



ARKADY SAULSKI

Dziennikarz „Gazety Bankowej”, członek zespołu redakcyjnego portalu wGospodarce.pl. Zajmuje się głównie tematyką segmentu gier i transportu morskiego oraz rzecznego

Nielatwa sztuka balansu, w której wyspecjalizował się Kraj Kwitnącej Wiśni, stała się w ostatnich miesiącach znacznie trudniejsza do realizacji, zaś sama Japonia znalazła się niejako między młotem a kowadłem

Choć przeciętnemu Polakowi Japonia wydaje się krainą tajemniczą i odległą, należy pamiętać, iż kraj ten leży w bardzo istotnym, by nie rzec wręcz – zapalnym rejonie świata, w którym krzyżują się interesy USA, Chin, Federacji Rosyjskiej, wreszcie biznesowe wpływy prywatnych potęg, tak z Japonii, jak i Chin czy państw Azji południowo-wschodniej. Jaką rolę do odegrania na tej arenie miała i ma Japonia?

Wyspy na rozdrożach

Współczesna Japonia jawi się nam jako kraj bardzo zamożny i zaawansowany pod względem technologicznym i społecznym. Należy jednak wiedzieć, że państwo to przez dwie dekady miało problemy z wysokim zadłużeniem i recesją. Jednocześnie rosła niepewność dotycząca sojuszy i wzmacniały się wpływy Chin. To wszystko postawiło Japończyków przed nowym wyzwaniem. I potrzebą przemodelowania dotychczasowych stosunków.

Najdobitniej widać to na przykładzie relacji Japonii z Federacją Rosyjską. Klu-

czowa była tu kwestia Kuryli, wysp utraconych przez Japonię na rzecz Związku Sowieckiego pod koniec II wojny światowej. To właśnie ta sprawa przez wieki była zadrą, uniemożliwiającą normalizację stosunków między tymi państwami. Zarówno dla Rosjan, jak i Japończyków, Kuryle były niejako kwestią honorową i żaden z zawodników nie chciał w tej sprawie ustąpić. Jak to zwykle bywa – tam, gdzie dwóch się bije, skorzystał trzeci. Czyli Chiny.

To właśnie wzrost potęgi Państwa Środka doprowadził do prób normalizacji stosunków między Rosją a Japonią. Od 2013 roku relacje te układają się może nie wzorcowo, ale na pewno wieje wiatr zmian. Doskonale opisywał te relacje Michał Lubina w swym tekście „Wspólnota zdegradowanych”, opublikowanym w "Nowej Konfederacji". W telegraficznym skrócie: widząc rosnącą potęgę Chin, oba państwa uznały, że eskalacja lub choćby dalsze usztywnianie stanowisk nie służy ich interesom. Dlatego premier Japonii nie tylko po raz pierwszy oficjalnie udał się

do Moskwy, ale wręcz znalazł wspólny język z rosyjskim prezydentem. Efekt, jak na lata konfliktu, był niespodziewanie pozytywny – nie tylko zainicjowano formułę 2+2 (spotkania ministrów spraw zagranicznych i obrony obu państw), ale też Rosja przyznała Japonii status obserwatora w Radzie Arktyki, jednocześnie ignorując analogiczne aspiracje Pekinu. Tym samym Japonia ma szansę w długim okresie stać się dla Rosjan „drugimi Niemcami” – ważnym partnerem technologicznym i kluczowym inwestorem.

Niestety, ta odwilż nie trwała długo – działania Rosji na Krymie w 2014 roku i później przyniosły kolejne ochłodzenie. Federacja Rosyjska potrzebowała dla swych działań znaczącego poparcia i otrzymała je... z Pekinu. Po krótkim okresie ocieplenia mamy więc do czynienia z ponownym ochłodzeniem relacji.

Niezmiennie pozostają natomiast stosunki Japonii z USA. Niegdyś śmiertelni wrogowie, od zakończenia wojny – bliscy sojusznicy, Waszyngton i Tokio mają w regionie zbieżne interesy – i wspólnego przeciwnika w postaci Chin. O ile japońska polityka pozostaje, ze względu na swą sztywność administracyjną, niezmienna, o tyle zmiany w Białym Domu także nie wpływały znacząco na te relacje. Nawet dojście do władzy Donalda Trumpa, który zdekonstruował wiele relacji uznawanych za trwałe, nie przyniosło tu żadnych tąpnięć – Trump mógł wyprowadzać USA z WHO, przebudowywać sojusze lub wręcz tworzyć nowe, śmiałe koncepcje, jednak w stosunku do Japonii polityka niemal się nie zmieniła.

Co innego z Chinami. Tutaj jednak należy zrobić pewną pauzę, by opowiedzieć o kluczowej postaci japońskiej polityki ostatnich lat.

Cesarz Abe

O współczesnej, japońskiej polityce nie sposób rozmawiać bez choćby małej wzmianki o kluczowym zawodniku tejże jakim był premier Shinzo Abe. O tym ambitnym, ciekawym przywódcy pisał już na łamach „Nowej Konfederacji” Paweł Behrendt, kreśląc drobiazgowy portret tego polityka, toteż pozwolę sobie jedynie na ogólny zarys politycznej sylwetki Abego, jednocześnie polecając Państwa uwadze wcześniejsze teksty NK na jego temat.

Niegdyś śmiertelni wrogowie, od zakończenia wojny – bliscy sojusznicy, USA i Japonia mają w regionie zbieżne interesy... i wspólnego przeciwnika w postaci Chin

Wywodzący się z wielopokoleniowej rodziny doświadczonych polityków (jest wnukiem premiera z lat 1957-1960 i synem byłego ministra spraw zagranicznych) Abe miał swoje „mocne wejście” podczas debiutu w roli szefa rządu w roku 2006.

Wtedy spoglądano na niego z wielką uwagą, zwłaszcza, że uznawany był za prawdziwego politycznego jastrzębia. Zapowiadał wtedy poważny, polityczny zwrot dla pacyfistycznej Japonii, złamanej militarnie podczas II wojny światowej, argumentując, że Kraj Kwitnącej Wiśni musi zyskać rangę polityczną i militarną odpowiadającą jej sile gospodarczej i demograficznej (obecne problemy demo-

graficzne Japonii wtedy były mniej zauważalne). Słynny stał się jego zamiar odwiedzenia chramu Yasukuni (wizyty tej poniechał zyskując w oczach Chin i Korei Południowej), jak również wypowiedzi, głoszące, że „Japonia nie musi nikogo przeproszać” – jednoznacznie wskazujące, że jego państwo nie będzie wiecznie posypywać głowy popiołem za straszliwe zbrodnie, jakich cesarska armia dopuszczała się na Chińczykach i Koreańczykach w okresie II WŚ. Dość powiedzieć, że podczas swej pierwszej kadencji Abe powszechnie uznawany był za groźnego nacjonalistę.

Ostatecznie jednak polityka tego przywódcy nie była wcale tak agresywna. Pozwoliła Japonii na wejście w XXI wiek bez strat ekonomicznych i z mocną pozycją na arenie międzynarodowej. Udało się nawet zrobić krok w stronę rozwiązywania ważnych sporów.

Teraz jednak Abe ustąpił. Oficjalnie – z powodów zdrowotnych. Ta przyczyna jest akurat całkiem wiarygodna – problemy Abego ze zdrowiem były wyraźne już w 2006 roku, przyczyniły się zresztą do jego pierwszej rezygnacji z urzędu premiera przed laty. Zarówno japońscy jak i amerykańscy komentatorzy wskazują, że nie jest to propagandowy wybieg, lecz rzeczywisty, zaskakujący zwrot akcji.

Ten zwrot może okazać się bardzo korzystny lub niekorzystny dla Japonii.

Premier na rok

Yoshihide Suga, który przejął funkcję premiera, nie ma łatwego zadania. W Japonii powszechnie uważa się go za przywódcę przejściowego – wybory w tym kraju mają mieć miejsce za rok. To mało czasu na wdrożenie nowej wizji.

Ta jest jednak konieczna, bowiem Japonia ma w regionie coraz istotniejszą rolę do odegrania. Demokratyczny prezydent USA Joe Biden w materii ewentualnej konfrontacji z Chinami będzie prowadził podobną politykę, co jego poprzednik Donald Trump. Działania wobec Chin mają być zdecydowane i wyraźne. Najbardziej wymownym symbolem tego było zaproszenie do osobistego spotkania w Białym Domu właśnie premiera Japonii. Suga był pierwszym zagranicznym przywódcą, który odwiedzi Bidena w Waszyngtonie. Deklaracja stała się jasna – Japonia jako trzecia gospodarka świata i kraj leżący w kluczowym geopolitycznie miejscu Pacyfiku ma być najistotniejszym elementem antychińskiego sojuszu.

Mimo to, sami Japończycy nie palą się do konfrontacji z potężnym sąsiadem. „To nie jest sojusz przeciwko Chinom. Obaj przywódcy porównują zapewne swoje wizje związane z Chinami. Zaproszenie w pierwszej kolejności premiera Sugi podkreśla oczywiście wagę stosunków amerykańsko-chińskich. Ale także znaczenie Japonii. Stamtąd pochodzi teraz najwięcej zagranicznych bezpośrednich inwestycji w USA” – wyjaśniał w połowie kwietnia Ichiro Fujisaki, były ambasador Japonii w USA. Jak podkreślał, spotkanie ma dotyczyć raczej globalnych problemów okresu pandemii, nowych technologii i prawa człowieka. Krótko mówiąc – PR-owa, dyplomatyczna mowa-trawa wyraźnie wskazuje, że tematem będą Chiny. Choć Japonia desperacko stara się udawać, że nie.

Wizyta premiera Sugi jest zresztą bardziej potrzebna USA niż Japonii. Biały Dom musi wysłać Pekinowi wyraźny sygnał, że Japonia pozostaje w orbicie jego wpływów. Tymczasem sam Suga, będąc premierem czasów przełomu, musi skutecznie podtrzymać delikatną równowagę,

jaką Japonia skutecznie realizowała w swej polityce międzynarodowej w ostatnich latach. Owszem, Kraj Kwitnącej Wiśni jest jednym z najważniejszych sojuszników USA na świecie, jednak potrafił dotąd postępować z gigantycznym, chińskim sąsiadem ostrożnie.

Jednak utrzymanie tej ostrożności było w ostatnich latach coraz trudniejsze. Z tego powodu amerykańsko-japoński traktat o bezpieczeństwie z 1960 roku, który zobowiązuje USA do pomocy wojskowej w razie ataku na terytoria pod japońską administracją, ma być rozszerzony także na niezamieszkałe wyspy Senkaku na Morzu Wschodniochińskim. To obszar sporny od kilku lat – Chiny nazywają te drobiny lądu „Diaoyu” i od chwili odkrycia w ich okolicach złóż ropy naftowej podważają ich przynależność do Japonii. Iskra, która roznieci ewentualny konflikt militarny, mogłaby objawić się więc właśnie tu.

Koniec miłości do USA?

W obecnej sytuacji wydawać by się mogło, iż Japonia garnąć się będzie pod opiekę USA... tymczasem jest zgoła inaczej. Analitycy wyraźnie wskazują, iż era całkowitego opierania się na potęgze USA musi się skończyć, a Japonia winna wzmacniać własny potencjał obronny. Jak wskazywał w niedawnej rozmowie z „Rzeczpospolitą” analityk obrony Akio Kawato: „W Japonii narasta przekonanie, że nie powinniśmy być w tak wielkim stopniu zależni w sprawach bezpieczeństwa od Ameryki, trzeba rozwijać też własną obronę jako uzupełnienie dwustronnego sojuszu”.

I tu wracamy do osoby Abego. Gdy przed ponad dekadą nowy premier wygłaszał tezy o wzmocnieniu japońskiej armii (och, przepraszam – Sił Samoobrony),

słowa te były odbierane jako objaw cokolwiek niezdrowy, niebezpieczny powrót do czasów ery militarizmu.

Dziś, w dobie napięć między USA i Chinami i coraz gorętszych sporów wokół Tajwanu, te deklaracje nie budzą żadnego zdziwienia czy niepokoju.

Jednak Suga nie jest Abem. Pozycja nowego premiera jest słaba, a bliskość terminu wyborczego (najpewniej odbędą się w październiku) tej nie umacnia jej. Suga może jednak wciąż przejść do historii. Wystarczy, że nie wytrąci Japonii z precyzyjnego balansu przez rok. W obecnej sytuacji już to będzie nie lada osiągnięciem.

Wizyta premiera Sugi jest zresztą bardziej potrzebna USA niż Japonii. Biały Dom musi wysłać Pekinowi wyraźny sygnał, iż Japonia pozostaje w orbicie jego wpływów

Szczególnie że USA i Japonia znajdują się w sytuacji, w której następuje nie tyle wejście do tej samej rzeki, co... próba uniknięcia tego wejścia. Japońska elita polityczna pamięta doskonale, jak zachowywała się względem ich kraju administracja Baracka Obamy, w której wiceprezydentem był obecny prezydent Joe Biden. Choć Japończycy nie należą do pamiętliwych, to nie wspominają miło dwóch kadencji Obamy, w trakcie których interes sojuszu Japonia-USA był często poświęcany na ołtarzu poprawy relacji Stanów z Chinami. I choć Donald Trump

nie cieszył się poparciem wśród Japończyków, to przez pragmatyczne do bólu elity traktowany był jako – jak to ujął Ra Mason – „no nonsense president” – polityk, który nie toleruje forteli i będzie realizował konkretną, spójną politykę. To podejście bliższe Japończykom niż dyplomatyczna, delikatna mowa-trawa z której – ich zdaniem – słyną demokraci.

Jednak Biden wyraźnie pragnie odmiany, co widać było podczas spotkania z Sugą – widząc wzrost potęgi Chin, demokraci nie są już tak skorzy do układów, i widzą w Japonii sojusznika w tej sprawie. Pytanie, czy wśród japońskich elit nie dochodzi do przewartościowania – wygrać bowiem może tendencja do appeasementu wobec Chin. Japończycy nie chcą stać się „państwem frontowym” dla realizacji interesów sojusznika zza oceanu. Może się więc okazać, że tym razem to USA będą bardziej agresywne w stosunku do Chin,

Japonia zaś raczej będzie starała się Państwo Środka obłaskawiać.

Na razie jednak japońskie elity trzymają karty przy orderach, a spotkanie Biden-Suga nie przyniosło żadnych niespodzianek, realizując, przynajmniej publicznie, agendę rozpisaną na wiele dni przed faktem. Samo spotkanie jednak strona chińska (co widać w publikacjach tamtejszych mediów) odczytała jako jednoznaczne utrwalenie sojuszu Japonia-USA, także w kwestiach spornych. Jeśli Tokio będzie pragnąć jakiegoś ocieplenia z Pekinem, zapewne zmuszone będzie do oddalenia się od USA.

Na razie jednak te kwestie pozostają w zamrożeniu. Wybory w Japonii mają odbyć się dopiero w październiku, co oznacza kilka miesięcy niepewności i ostrożnego balansowania. Ostrożnego, to znaczy – jeszcze bardziej delikatnego niż do tej pory.